

GEN TLE MAN

Gentlemanem może być każdy.
Szczególnie ktoś, kogo o to
nie podejrzewasz!

Mańka
Smolarczyk



Prawie
400 tysięcy
odstón
na Wattpadzie

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Barbara Lepionka
Projekt okładki: Justyna Sieprawska
Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock

Helion S.A.
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!
Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres
<http://editio.pl/user/opinie/gentel>
Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-7713-4

Copyright © Helion S.A. 2022

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Rozdział 1.

Zapewne na pierwszy rzut oka niczym nie różniłam się od ludzi siedzących na ławkach lub ze znudzeniem wpatrujących się w olbrzymi zegar, którym przyozdobiona była stacja metra. Uważny obserwator zauważyłby jednak, że mojej twarzy, w przeciwieństwie do reszty pasażerów, nie pokrywa maska ignorancji, a że wręcz wyraża ona czystą irytację. Co chwilę sprawdzałam wyświetlacz komórki od sześćdziesięciu sekund pokazujący tę samą godzinę.

Osoba nieco bardziej inteligentna, mająca rzadką zdolność do wysuwania słusznych wniosków, z pewnością stwierdziłaby, że muszę być zdenerwowana. I byłam. Jak jasna cholera. Tkwiłam w tym destrukcyjnym uczuciu, gotowa eksplodować w każdej chwili. Jak moja stara zmywarka, przy okazji zalewając sufit sąsiadom z dołu.

Najbardziej irytowała mnie bezradność. W końcu nie miałam wpływu na to, że nie zdołałam się wcisnąć do zatłoczonego metra, a także na to, że nie stać mnie było na mieszkanie bliżej centrum i aby dostać się do pracy, byłam zmuszona nudzić się każdego dnia przez czterdzieści minut w podziemnym pociągu. Jakby się dłużej zastanowić, było na tym świecie naprawdę mało rzeczy, na które miałam wpływ. A biorąc pod uwagę jeszcze mój brak asertywności i zdolność do pokrywania się zdradzieckim rumieńcem w najbardziej żenujących sytuacjach, można śmiało stwierdzić, że byłam po prostu żałosna i nie potrafiłam kontrolować nawet własnego ciała.

Musiałam chodzić do pracy, aby zarabiać pieniądze na utrzymanie siebie i kota, w tej chwili smacznie śpiącego na starym fotelu. A fakt, że byłam spóźniona, a mój gburowaty, nadęty szef urządził mi jesień średniowiecza, jak tylko dotrę do pracy, jeszcze bardziej mnie dobijał. Moja twarz przybrała krwisty kolor, a usta zwinęły się w kwaśny, ironiczny uśmiech złoŹnicy.

Do złoŹnicy było mi jednak daleko. Choć czasami wołałabym, aby było mi nieco bliżej.

Próbowałam nastawić się psychicznie na to, co mnie czekało. A czekało mnie sporo nerwów, obraźliwych docinków i żal, że w żaden sposób nie potrafię się postawić. Swoją drogą było to całkiem zabawne. Prywatnie całkiem nieźle radziłam sobie z sarkazmem i ironicznymi odzywkami, ale jak tylko przekraczałam próg wieżowca, w którym pracowałam, lub miałam styczność z kimś, kogo dobrze nie znałam, ogarniała mnie jakaś dziwna, niewytłumaczalna bezradność.

Coś musiało być ze mną nie tak.

Kiedy wreszcie nadjechał zatłoczony transport, do którego z ledwością się zmieściłam, już prawie udało mi się ułożyć w głowie idealne usprawiedliwienie. Stojąc, przyciśnięta do wielkiego faceta, śmierdzącego starymi, przepoconymi skarpetami i cytrusowym odświeżaczem powietrza stosowanym w toaletach, zastanawiałam się, czym sobie zasłużyłam na taki pech.

I to tak ogromny. Jak stąd do wieczności.

Z półgodzinnym spóźnieniem dotarłam wreszcie do niesamowicie wysokiego, przeszklonego wieżowca z widokiem na Tamizę, w którym miałam nieprzyjemność pracować. Nigdy nie sądziłam, że będzie mi dane zostać *korposzczurem*. Marzyłam o wybitnej karierze dziennikarki, a skończyłam jako „Przynieś-Wynieś-Kawę” w wielkiej korporacji.

Jakby się nad tym dłużej zastanowić, to nie była jedyna rzecz, która mi w życiu nie wyszła.

Nienawidziłam swojej pracy, szefa i współpracowników, którzy zawsze, kiedy nadarzyła się okazja, rzucali sobie nawzajem kłody pod nogi i z satysfakcją obserwowali walące się życie drugiego człowieka. Na widok

wieżowca poczułam gorycz w ustach. Miałam wrażenie, że wchodzę do jaskini pełnej jadowitych węży i ogromnych, obrzydliwych, włochatych pajaków.

Przynajmniej tak to wyglądało w moich najgorszych koszmarach.

Wjechałam windą na trzydzieste piętro. Jak co dzień minęłam uschniętą w doniczce paproć, stojącą w rogu korytarza równie ekskluzywnego i czystego, co reszta biura. Wiele razy starałam się ją odratować, ale mój wysiłek najwyraźniej zdał się na nic. W końcu postanowiłam, że przy najbliższej okazji kupię nowy kwiatek. Najlepiej sztuczny, którego nie uśmierci panująca na piętrze atmosfera.

Najciszej jak się dało, wślizgnęłam się na krzesło przy moim biurku pełnym walających się papierów, segregatorów, pastelowych karteczek samoprzylepnych i długopisów z tęczowymi pomponami. Stało dokładnie naprzeciwko wielkich dębowych drzwi, prowadzących do pieczary największego dupka wszech czasów — mojego szefa. Można powiedzieć, że uczucie, którym darzyłam tego wyjątkowo niesympatycznego i zimnego człowieka, było nienawiścią od pierwszego zlecenia.

Bennett Wallace, bo tak nazywał się ten robot bez uczuć, był prezesem międzynarodowej firmy budowlanej. Chociaż nie znosiłam go z całego serca, musiałam przyznać, że drań był wyjątkowo inteligentny, błyskotliwy i nieziemsko przystojny.

I jak na złość, nigdy nie spotkałam nikogo, kto wyglądałby równie dobrze w garniturze.

Początkowo, owszem, jego przeszywające stalowoszare spojrzenie onieśmiało mnie i wywoływało drgawki na całym ciele. Jednak po roku pilnowania jego harmonogramu, umawiania spotkań, odbierania jego garniturów z pralni i biegania za odpowiednim krawatem uodporniałam się na jego ładną buźkę i najchętniej zapoznałabym ją ze swoją ściśniętą pięścią. Gdybym potrafiła zebrać się na odwagę, oczywiście. Był idealnym przykładem na to, że wygląd to nie wszystko.

— Panno Cooper.

Ten dobrze mi znany niski, zdenerwowany głos z lekką chrypką całkowicie mnie sparaliżował, a ręce automatycznie zwinęły się w pięści.

Wstałam i posłusznie skierowałam się do pieczary smoka zięjącego zwolnieniami. Przełknęłam ślinę i wytarłam o spódnicę spocone ze strachu ręce. Wreszcie lekko popchnęłam uchylone drzwi i znalazłam się w środku samego Hadesu.

— Panie Wallace — wydukałam niemrawo przy wejściu, podziwiając czubki swoich białych tenisówek.

Nie lubiłam szpilek, ale przyjmując posadę w korporacji, musiałam zgodzić się także na odpowiedni ubiór, który idealnie wpasuje się w panujący w firmie *dress code*. Byłam więc zmuszona zaprzyjaźnić się z wysokimi obcasami. Ale tylko w trakcie pracy. Trzymałam dwie pary szpilek w szafce pod biurkiem i zakładałam je po przyjściu do biura. Potem próbowałam się nie krzywić przez osiem dłużących się niemiłosiernie godzin, aż do momentu, w którym mój ukochany szef, gorszy i bardziej toksyczny niż grzybica na stopach, wspaniałomyślnie pozwoli mi wyjść.

Nie przyszło mi naturalnie do głowy, że przed wejściem do gabinetu powinnam założyć coś bardziej odpowiedniego. Wallace nie znosił niechlujstwa. Jednak najbardziej nienawidził, gdy ktoś się spóźniał.

— Panno Cooper — wycedził Hades przez zaciśnięte zęby.

Nie musiałam nawet na niego patrzeć, żeby wiedzieć, jak bardzo był wściekły. Bałam się podnieść wzrok, ale oczami wyobraźni widziałam jego zaciśniętą ze złości szczękę i drgającą powiekę.

— Proszę zamknąć drzwi.

Nienawidziłam tego oschłego, opryskliwego tonu. A także jego intensywnych perfum, które jak na złość podobały mi się bardziej, niż powinny.

Odwrociłam się i wykonałam jego polecenie, po czym podniosłam głowę. Wreszcie zdobyłam się na odwagę, aby na niego spojrzeć. Wyglądał idealnie, jak zawsze. Nosił tylko szyte na miarę garnitury w stonowanych kolorach. Miał jasne, wręcz lazuruowe, przenikliwe spojrzenie i idealnie zarysowaną szczękę pokrytą delikatnym męskim zarostem. A jego kruczoczarne włosy, niezależnie od pory dnia, były perfekcyjnie ułożone, lśniące i godne pozazdrosczenia. Ciekawiło mnie zawsze, czy posiadał w swojej wielkiej rezydencji także fryzjera, który codziennie przyglądał tę jego irytująco perfekcyjną fryzurkę.

Doprowadzał mnie do szaleństwa, ale mimo wszystko musiałam przyznać, że był wyjątkowo profesjonalny. Nigdy nie słyszałam o jego romansie z żadną sekretarką ani żadną moją poprzedniczką, chociaż i tak średnio interesowało mnie jego życie prywatne. Teoretycznie mogłabym się tego spodziewać po mężczyźnie z takim wyglądem. Tacy jak on lubili nadużywać swojej pozycji.

Albo po prostu świetnie się z tym krył.

Nie miał też żony ani dzieci. Przynajmniej oficjalnie. Dlatego wiele razy zastanawiałam się, co jest z nim nie tak. Bynajmniej nie opowiadaliśmy sobie ploteczek z życia prywatnego przed snem i nie urządzaliśmy bitwy na poduszki.

I bardzo dobrze. Jego życie prywatne nie powinno mnie w żaden sposób obchodzić. Mógł sobie być primadonną albo *Drag Queen*. Nawet wtedy nie drgnęłyby mi powieka.

Nienawiść do niego zmieniała mnie w potwora.

Zerknął na zegarek owinięty wokół lewej ręki i posłał mi spojrzenie, które mogłoby zabijać. Gdyby rzeczywiście miało taką moc, już wylabym się z bólu na podłodze. Czas stanął w miejscu. Wallace milczał, jakby delektując się strachem, idealnie widocznym na mojej białej jak płótno twarzy.

W życiu nie spotkałam równie przerażającego człowieka.

Czemu tak bardzo mnie stresował? Cóż. Mógł mnie zwolnić, w najgorszym wypadku dyscyplinarnie, straciłabym mieszkanie, moją ulubioną kanapę i musiałabym się przeprowadzić z powrotem do rodzinnego domu. A tego nie zniosłabym nawet przy pomocy alkoholu.

— Słucham — powiedział w końcu Wallace i oparł obie ręce o blat biurka. Swoją drogą jego ręce także były całkiem ładne, obdarzone smukłymi palcami. Jakby przystojna twarz mu nie wystarczyła. *Chciwy drań.*
— Co ma pani na swoje usprawiedliwienie?

To był ten moment, w którym musiałam się ratować. Nie mogłam przecież dać się zwolnić.

Dasz radę, Mary-Ann. Po prostu powiedz prawdę.

— Mój transport się spóźnił. Przepraszam, panie Wallace. Mam nadzieję, że to się więcej nie powtórzy. Na tej trasie wiecznie są jakieś problemy... — Ścisnęłam wargi, zdając sobie sprawę, że za dużo powiedziałam. Mój uśmiechający się kpiąco szef miał w dalekim poważaniu poranny tłok w metrze. Dla niego liczyło się tylko to, że pracownik, któremu płaci pensję, nie zjawił się w pracy na czas.

I na moje nieszczęście należałam do tego wybranego, ekskluzywnego klubu *Najbliższych Podwładnych Hadesa*. Liczba miejsc ograniczona.

— Czekałem na taką wymówkę, panno Cooper. Jak widać, nawet nie jestem zdziwiony. Powinna pani zapisywać sobie kłamstwa, którymi mnie karmi. To już było, niestety. Liczyłem na większą kreatywność z pani strony.

Jego głos był zimny jak lód i z pewnością mógłby ciąć jak brzytwa. Poczułam się naprawdę podle. Uważał mnie za kłamczuchę i oszustkę. Tak jakby z góry zakładał, że wszyscy tacy są. Widziałam jedynie dwa wytłumaczenia dla takiego światopoglądu — albo był skończonym palantem, albo przytrafiło mu się w życiu coś, co zrobiło z niego skończonego palanta. W tamtej chwili głosowałam za pierwszą opcją.

— Proszę przygotować umowę dla Greenmana, będzie tutaj za pół godziny. To wszystko. Może pani wracać do pracy.

Świetnie. Aż nie mogłam się doczekać.

Z utęsknieniem czekałam na wybicie godziny piątej po południu, która oznaczała koniec męczarni i towarzystwa Bennetta Wallace'a. Zsunęłam ze stóp niewygodne szpilki i wrzuciłam je niedbale do szafki pod biurkiem, po czym z ulgą założyłam białe tenisówki. Nie pasowały ani trochę do ołówkowej spódnicy i białej koszuli, ale nigdy nie należałam do osób, które przejmują się swoim wyglądem. Szczególnie po tak ciężkim dniu, jaki właśnie przeżyłam. Szef wychodził z siebie, zasypując mnie zadaniami, którym ledwo udało mi się sprostać. Był na mnie wściekły za poranne spóźnienie i jeszcze bardziej oschły niż zazwyczaj.

Może bycie miłym sprawiało mu jakiś fizyczny ból? Może miał alergię na ludzkie uczucia?

Pozbierałam swoje rzeczy i zanotowałam w notesie, aby koniecznie z samego rana odebrać zamówiony garnitur. Z nietęgą miną zapukałam do gabinetu szefa, a kiedy usłyszałam lodowate: „Proszę wejść”, wkroczyłam do środka.

— Już wychodzę, panie Wallace. Do zobaczenia jutro — oznajmiłam, po czym nie czekając na odpowiedź, wyszłam z jego gabinetu.

A myśl, że za szesnaście godzin będę musiała przeżywać te męczarnie od nowa, sprawiła, że zachciało mi się płakać. I to krwawymi łzami.

Bennett Wallace był gorszy niż cebula.

W mieszkaniu jak zwykle przywitał mnie długowłosey kot o jakże znacnym imieniu: Bob. Co miałam w głowie, nadając mu takie imię? Nie zamierzałam w to wnikać. Mogłam się jedynie jeszcze bardziej przerazić.

Bob był leniwym kociskiem, które nie darzyło sympatią nikogo, nawet mnie. Całymi dniami wylegiwał się na fotelu i ruszał swój opasły tyłek z legowiska tylko wtedy, gdy robił się głodny. Jak każda samotna właścicielka kota byłam nim wprost zachwycona i najchętniej bombardowałam bym wszystkich znajomych jego uroczymi zdjęciami. Już na samym początku naszego wspólnego życia zawarliśmy umowę — ja akceptuję jego lenistwo, a on daje mi się rozpieszczać bez końca.

Wzięłam na ręce grubego kocura i udałam się do małej, jasnej kuchni, oddzielonej od salonu kuchenną wyspą. Mieszkanie nie było duże, a wręcz zatrwająco małe. Mieściło się w jednej z typowych londyńskich kamieniczek na obrzeżach miasta. Jego rozmiar na początku przeraził moją matkę, ale wytłumaczyłam jej cierpliwie, że ani ja, ani Bob nie przewidujemy w najbliższym czasie żadnych współlokatorów. Szczególnie płci męskiej.

Otworzyłam lodówkę i oboje z kotem popatrzyliśmy z niechęcią na jej niezbyt obiecujące wnętrze. To była kolejna wada Boba — uwielbiał mnie oceniać, co wyrażał kocim syknięciem. Rzadko udawało mi się go zadowolić.

A próbowałam z całych sił.

— Powinnam chyba zrobić zakupy, prawda, Bob?

Gdyby kot potrafił mówić, z pewnością kazałby mi się zamknąć. Jednak na moją korzyść nie posiadał takiej zdolności.

I bardzo dobrze. Nie moglibyśmy wtedy ze sobą mieszkać.

Odłożyłam ciężkiego zwierzaka na jasne panele, wsunęłam przez głowę stanowczo zbyt dużą szarą bluzę, chwyciłam portfel i wyszłam do pobliskiego marketu, sprawdzając po drodze, czy aby na pewno zza rogu nie wyłoni się zaraz któryś z sąsiadów. Po całym dniu w pracy, w wielkich, nieatrakcyjnych ciuchach z pewnością stałabym się tematem plotek. Szczególnie sąsiadki z drugiego piętra, która utrzymywała stały kontakt z moją rodzicielką.

Mama uwielbiała wtrącać się w moje życie, szczególnie od czasów liceum, kiedy to rozwiodła się z moim tatą, przebywającym obecnie w Południowej Afryce ze swoją nową żoną. Najchętniej zaplanowałyby je ze wszystkimi szczegółami i kontrolowała każdy mój posiłek, gdybym jej tylko na to pozwoliła. Między innymi dlatego szybko chciałam osiągnąć niezależność i wyprowadzić się z rodzinnego domu. A przede wszystkim tę niezależność utrzymać.

Po krótkiej wycieczce do supermarketu, obciążona torbami, toczyłam się po schodach na górę. W takich momentach, i tylko w takich, żałowałam, że nie mam faceta, który pomógłby mi tachać ciężkie zakupy.

Nie miałam szczęścia do mężczyzn. Każda randka z osobnikiem płci przeciwnej kończyła się fiaskiem, rzewnymi łzami i puszką lodów czekoladowo-waniliowych. Mężczyźni, na których trafiałam, prędzej czy później, okazywali się żonaci, toksyczni lub przeszkadzał im mój ironiczny sposób bycia i nadmierna skrytość. Albo po prostu lubili mnie wykorzystywać i rzucałam ich, gdy tylko zdałam sobie z tego sprawę.

A wykorzystywanie mnie nie było wcale takie trudne.

Marzyłam o prawdziwej, szczerzej miłości. Takiej, o którą pierwszy raz w życiu mogłabym zawalczyć, wychodząc ze swojej nieasertywnej skorupy. Ale jeszcze jej nie spotkałam. Tym sposobem skończyłam jako samotna, dwudziestosiedmioletnia, stereotypowa właścicielka kocura, który był jedynym mężczyzną w jej życiu, wysłuchiwałam tony niemiłych

słów od matki i mojej najlepszej przyjaciółki, a także musiałam się męczyć z nieudolnymi próbami swatania. W oczach mojej matki dwudziestosiemioletka zaliczana była do niepożądanego rodu starych panien, dlatego za wszelką cenę starała się mnie od tego uwolnić.

— Minnie! Gdzieś ty się, do cholery, podziewała? — usłyszałam piskliwy głos, należący do wysokiej, ponadprzeciętnie pięknej, szczupłej blondynki o oliwkowej cerze, stojącej przy drzwiach do mojego mieszkania.

— Tańczyłam na rurze — burknęłam, przewracając oczami, po czym rzuciłam torby na podłogę. Bonnie dobrze wiedziała, że z moją aparycją: niezbyt długimi nogami, za to zbyt szerokimi udami, nie przyjęliby mnie w żadnym klubie nocnym. Przekręciłam klucz w zamku, lekko szamocząc się ze starymi drzwiami z odpadającą farbą, po czym weszliśmy do środka i odłożyliśmy zakupy na kuchenny blat. — Co ty tutaj robisz? Miałś mieć randkę ze swoim gorącym narzeczonym.

— Spotyka się dzisiaj z kumplem — odparła i zanurzyła rękę w jednej z papierowych toreb, po czym wyciągnęła butelkę wody. Bez skrępowania ją otworzyła i pociągnęła kilka łyków. Próbovałam sobie przypomnieć, kiedy jej na to pozwoliłam, ale naturalnie nie mogłam, gdyż wcale tego nie zrobiłam. — Więc przyszedł do ciebie. Mam wino. Pisziesz się?

— No jasne. Miałam fatalny dzień — jęknęłam i sięgnęłam do szafki po dwa kieliszki.

— Kutasiński dalej zgrywa zimnego drania? Nie przejmuj się nim, to zwykły kretyń.

Doskonale o tym wiedziałam. Ale musiałam znosić chłodne zagrywki mojego szefa, przynajmniej do czasu, aż na horyzoncie nie pojawi się coś lepszego.

Na przykład taki z lepszą pensją i służbowym mieszkaniem. Samochodem także bym nie pogardziła.

— Nie mam ochoty o nim rozmawiać. Za to mam ochotę na wino.

Znałyśmy się z Bonnie od liceum. Nie można powiedzieć, że byłyśmy nierozłączne. Różniłyśmy się tak bardzo, że wzajemnie się irytowałyśmy. Mimo to łączyła nas wyjątkowa nić porozumienia i zawsze mogłyśmy na

siebie liczyć. Nie była to idealna, książkowa przyjaźń. Zresztą nie mogłam jej nawet z nikim porównać, nigdy nie miałam zbyt wielu koleżanek. Należałam raczej do tych cichych, skromnych myszek, siedzących gdzieś przy ścianie z ulubioną książką. Ale miałam Bonnie, dlatego nie zaprzętałam tym sobie głowy. I nie próbowałam zaprzyjaźnić się z nikim innym.

Pół butelki wina później udzielił mi się wesoły nastrój przyjaciółki, w pakiecie z pijackim chichotem. Leżałam bezwładnie na kolanach Bonnie, a moja twarz przybierała coraz bardziej wyrazisty odcień czerwieni. Alkohol działał na mnie dużo mocniej i dużo szybciej niż na przeciętnego człowieka, dlatego zazwyczaj starałam się go unikać, szczególnie przy obcych. Jednak przy Bonnie było to raczej niemożliwe. Uwielbiała pić. Dużo.

— Frank myśli nad jakimś wyjazdem na weekend — wybelkotała Bonnie i przyłożyła do ust kieliszek. — Jego kumpel, ten, którego zna od liceum... Opowiadałam ci o nim! Genialny gość i megaciacho!

Czułam w kościach, że to, co powie, w ogóle mi się nie spodoba.

Frank, narzeczony Bonnie, pochodził z wyjątkowo zamożnej rodziny. Posiadał kilka drobnych firm, dzięki czemu rozpieszczał swoją przyszlą żonę w każdy możliwy sposób. Był sympatyczny, ale z daleka było widać, w jakim towarzystwie się obracał. *Bogatym, aroganckim i snobistycznym*. Nie spodziewałam się więc niczego dobrego po „*ciachu*, które znał od liceum”.

— Co z nim?

— Ma dom we Francji... — powiedziała, uśmiechając się podejrzanie. Oczywiście, że miał. Był w końcu znajomym Franka. — Może wybraliśmy się tam w czwórkę? Powiedział Frankowi, że z chęcią cię pozna. Szczególnie że zgodził się zostać drużbą na naszym ślubie. A ty moją druhną... Kto wie? Może to facet twojego życia?

Teoretycznie alkohol powinien stłumić zażenowanie, ale najwyraźniej zbyt mało wypiałam.

— Nie wierzę w facetów mojego życia. — Popatrzyłam na nią z politowaniem. Nie dość, że znowu próbowała na siłę znaleźć mi chłopaka, to

na moje nieszczęście wybrała kandydata z najbliższego otoczenia jej bogatego narzeczonego, żebym mogła więc się przed nim ze wstydu na każdym kroku. — Faceci są do dupy. Poza tym i tak nie mogłabym jechać.

Nie należałam do rozrywkowych kobiet, a poznawanie nowych faceków wybudzało skrywane lęki przed kolejnym niewypałem. Zdecydowanie nie chciałam jechać do żadnej Francji. Niestety Bonnie nie zamierzała mi odpuścić. Mogłam się założyć, że już układała w głowie wizję naszych podwójnych randek i wspólnych wyjazdów.

Jeszcze tylko tego mi brakowało.

— Niby dlaczego? — obruszyła się i odłożyła pusty kieliszek na stolik.

— Mój szef już się o to postara. Zawali mnie robotą na cały weekend. — Westchnęłam i podniosłam się z kolan przyjaciółki. Było to zresztą częściowo prawdą. Wallace uwielbiał zawalać mnie zleceniami na weekend.

Za to nienawidziłam go jeszcze bardziej.

— Frajer. W ogóle uważam, że marnujesz się w tej robocie, Minnie. Jesteś zdolna, dużo inteligentniejsza ode mnie. Zaslugujesz na lepsze traktowanie.

— Powiedz to Kutasińskiemu. Z chęcią posłucha — mruknęłam rozgoryczona i uśmiechnęłam się cynicznie.

Nawet gdyby powiedziała mu to prosto w twarz, i tak by się tym nie przejął. Bycie dupkiem sprawiało mu przyjemność.

— Jedziesz z nami, i tyle. Nie mogę patrzeć, jak niszczysz sobie życie! Nie chcę słyszeć sprzeciwu!

Wyglądało na to, że nie miałam wyjścia — musiałam wymyślić jakieś porządne kłamstwo. Świadomość tego wcale mi się nie podobała. Bonnie nie zamierzała tak łatwo odpuścić i jak zwykle musiała postawić na swoim. Nie miałam ochoty na weekend w towarzystwie snoba z domkiem we Francji. Na kolejnego, który okrzyknie mnie *sztyniarą* albo którego po drugiej randce przyłapię z żoną.

— Zastanowię się — bąknęłam. *Ale cóż... i tak nie zamierzałam.*

~*~

Z samego rana ledwo zdążyłam na wcześniejszy odjazd metra. Dotarłam do centrum miasta i odebrałam całkiem nowy szary garnitur szefa z najdroższego sklepu w promieniu kilkunastu mil. Zmierzona pogardliwym spojrzeniem ekspedientki w różowym kostiumie Chanel, chwyciłam zamówienie i z ulgą opuściłam ekskluzywne pomieszczenie.

Następnym przystankiem miał być Starbucks, gdzie dwa razy w tygodniu, w zależności od potrzeb Kutasińskiego, spędzałam piętnaście niemiłosiernie długich minut, stojąc w kolejce za jego ulubioną kawą. Bennett Wallace nie miał dla mnie ani krzty litości, nie okazywał także dowodów miłosierdzia czy współczucia. Zimny drań.

Lub Kutasiński. Jak kto woli.

Wszystko szło zgodnie z planem, dopóki jakaś wypindrowana lalunia w butach na obcasie od Gucciego nie wylała swojej piekielnie gorącej kawy na moją bluzkę. Z pewnością wszyscy ludzie przechodzący obok kawiarni usłyszeli mój przeraźliwy krzyk i warknięcie pełne frustracji. Bąknęła coś niewyraźnie pod nosem i zostawiła mnie z oparzoną klatką piersiową.

Wyciągnęłam chusteczkę z torebki i zaczęłam wycierać brązową plamę z białej koszuli. Nic to nie dało, ciecz pozostała na swoim miejscu i nigdzie się nie wybierała. Naburmuszona, podałam zamówienie, odebrałam kawę i wyszłam bez słowa. Po drodze zahaczyłam o sklep z tanimi ubraniami, chwyciłam pierwszą lepszą bluzkę w grochy, zapłaciłam i skierowałam się prosto do piekła, w którym pracowałam.

Grochów także nie lubiłam, ale nieco poniżej „skali nienawiści do Kutasińskiego”. Sprawiały, że wyglądałam na grubszą, niż byłam w rzeczywistości.

Tego dnia Bennett Wallace zdawał się mieć jeszcze gorszy humor niż zazwyczaj. Zmierzył wzrokiem moją bluzkę i stwierdził, że chyba za mało mi płaci, skoro noszę takie paskudztwa.

Owszem, bluzka była wyjątkowo paskudna, ale to absolutnie nie była jego sprawa.

— Wie pan co, panie Wallace? — warknęłam, sama nie wiedząc, co we mnie wstąpiło. Nigdy nie pozwalałam sobie na jakikolwiek akt niesubordynacji.

Coś niedobrego musiało się ze mną stać podczas wypadku z kawą.

— Słucham, panno Cooper. Z pewnością ma pani coś wybitnie ciekawego do powiedzenia — powiedział i stanął nade mną siedzącą na obrotowym krześle. Już żałowałam swojego wybuchu. — Czasami sam się zastanawiam, dlaczego jeszcze pani nie zwolniłem. Jest pani spóźnialska i nigdy nie potrafi zrobić niczego na czas!

Po takim niezwykle obraźliwym przemówieniu moja pewność siebie nie miała innego wyjścia — uleciała w powietrze jak różowy obłoczek. Tak naprawdę po roku spędzonym z Wallace'em zapomniałam, że kiedykolwiek ją miałam. Od początku naszej burzliwej współpracy nie potrafiłam mu się postawić. I chociaż zastanawiałam się nad tym po każdej awanturze, nie wiedziałam, dlaczego w jego towarzystwie mój mózg i sarkazm po prostu przestawały istnieć. Byłam na każde skinienie, zawsze posłusznie wykonywałam jego polecenia i milczałam, gdy mieszał mnie z błotem. Być może dlatego jeszcze mnie nie zwolnił. Trudno byłoby mu znaleźć podobną naiwniaczkę.

Teoretycznie mogłam mu spokojnie wytłumaczyć, że droga do centrum Londynu, szczególnie w godzinach porannych, nie należała do najłatwiejszych. Ale ten dupek i tak niczego nie rozumiał. Posiadał wypasioną limuzynę, jacht, w zeszłym roku zakupił samolot i nie zdziwiłabym się, gdyby nie wiedział, co to jest metro.

Wallace ostatni raz spojrzął na mnie kpiąco i wrócił do swojego gabinetu. A ja, jak zwykle, zostałam sama, płonąć ze złości i żalu, że nie potrafię mu powiedzieć, co o nim myślę.

Doprawdy żałosne, panno Cooper.

Rozdział 2.

*W*lewałam właśnie wrzącą wodę do kubka z torebką pomarańczowej herbaty, kiedy zabrzmiał telefon. I to mój prywatny. Z zaskoczenia wypuściłam kubek z dłoni. Poturłał się po drewnianych panelach i rozbił w drobny mak.

Zazwyczaj otrzymywałam tylko służbowe telefony. Od rozgoryczonego, wiecznie niezadowolonego szefa. Prywatnie ewentualnie od Bonnie. I od jeszcze jednej, wyjątkowo irytującej osoby...

Podbiegłam do stolika i zerknęłam na wyświetlacz. Można się było tego spodziewać.

Odebrałam połączenie i przycisnęłam aparat do ucha.

— Cześć, mammo.

— A jednak żyjesz. — Usłyszałam jej głębokie westchnięcie. — Tak długo się nie odzywałaś, że myślałam, że ktoś zaciągnął cię do ślepego zaułka, poćwiartował i schował kawałki twojego ciała do jakiegoś śmierdzącego kontenera!

— Żyję. Niestety — jęknęłam. Przytrzymałam telefon ramieniem i wróciłam do parzenia herbaty. — Dzwoniłam do ciebie przedwczoraj. Po co tak dramatyzujesz?

— Masz może dla mnie jakieś dobre wieści?

Bob dzisiaj ani razu na mnie nie zasyczał. Ale szczerze wątpiłam, żeby właśnie o takie wieści jej chodziło.

— Jeżeli chodzi ci o faceta, to nie. Dalej jestem sama — odparłam i przewróciłam oczami. Mama z radością urządziłaby już mój ślub albo

wybierała imię dla mojego dziecka. — Nie potrzebuję faceta. Jestem szczęśliwa! Mam pracę, mieszkanie i wspaniałego kota.

— Kot nie spłodzi mi wnucząt.

Skrzywiłam się, czego niestety nie mogła zobaczyć.

— Przestań, mam! — oburzyłam się i wrzuciłam łyżeczkę do parującego kubka, który wydał z siebie nieprzyjemny, miazdzący bębenki dźwięk.

— Tylko mówię! Jestem już gotowa na bycie babcią.

Ale ja nie byłam w ogóle gotowa na bycie mamą. Ani na jakikolwiek związek.

— Bardzo się cieszę, a teraz wybacz, mam mnóstwo roboty.

— Jadłaś coś? Dzisiaj było wyjątkowo chłodno. Mam nadzieję, że ubrałaś grubszy sweter. — Na dźwięk tych słów coś przewróciło mi się w żołądku. Mama po rozwodzie stała się wyjątkowo drażliwa i nadopiekuńcza, tak jakby usiłowała przelać na mnie całą miłość, zarezerwowaną dotychczas dla mojego ojca. Miałam wrażenie, że panicznie bała się samotności i dlatego tak bardzo chciała, abym miała dziecko, którym mogłaby się opiekować. W ten sposób poczułaby się potrzebna.

— Tak, mam. Nie martw się, jestem już dorosła. Potrafię o siebie zadbać — zapewniłam ją.

— Martwię się cały czas. Dlatego powinnaś znaleźć sobie faceta, który robiłby to za mnie.

Jeszcze takiego nie znalazłam. I wątpię, że kiedykolwiek znajdę.

— Tacy faceci nie istnieją, mam. Naprawdę muszę już lecieć. Zadzwoń jutro.

Rozmowa z mamą uśmierciła we mnie jakiekolwiek oznaki dobrego humoru. Potrzebowałam kubła lodów, czekolady, słonych krakersów i paczki czegoś wyjątkowo niezdrowego. Nawet dwóch.

~*~

Pakowałam właśnie kolejną paczkę chipsów do czerwonego koszyka, kiedy zza regału wyłoniła się znajoma czupryna blond włosów. Bonnie wyszczerzyła swoje idealne zęby i wystawiła język.

— Śledzisz mnie? — przywitałam ją, niezbyt zadowolona z życia, i wróciłam do czytania etykiet.

— Oczywiście. To moja ukryta pasja.

Spojrzałam na nią spod przymrużonych powiek.

— Zabawne.

W koszyku wylądowała butelka coli i krakersy z dużą ilością soli. W przeciwieństwie do Bonnie nie byłam maniaczką zdrowego żywienia, jogi i porannego biegania. Lubiłam jeść. Bardzo. I nie miałam zamiaru z tego zrezygnować, szczególnie dla faceta. Już w szkole średniej postanowiłam sobie raz na zawsze, że nie pozwolę nikomu decydować o wyglądzie mojego ciała, szczególnie poddawać się nienaturalnym, wszechobecnym standardom piękna. I, o dziwo, do tej pory szło mi całkiem nieźle.

— Spotkałam wczoraj przyjaciela Franka. To ciacho z domem we Francji. Jest cudowny! — zapiszczała Bonnie i teatralnie powachlowała się dłonią.

Szczerze w to wątpiłam.

— Przypominam ci, że masz narzeczonego.

— Wiem. Ale ty jeszcze nie.

Nie wiedzieć czemu, zdenerwowało mnie to bardziej, niż powinno. Im dłużej zadawałam się z Bonnie, tym bardziej przypominała moją matkę. Za wszelką cenę chciała kontrolować moje życie.

— Już ci mówiłam, że nikogo na razie nie szukam. Chcę się nacieszyć samotnością.

— Jest totalnie w twoim typie!

Zaczynała mnie powoli irytować. Na świecie było mnóstwo tematów, o których mogłybyśmy porozmawiać, ale Bonnie jak zwykle nawijała o potencjalnym kandydacie na męża. Bynajmniej nie dla siebie.

— Niby skąd wiesz, jaki jest mój typ? — zapytałam podejrzliwie.

Nie miałam swojego typu już od jakiegoś czasu. Obecnie faceci wywoływali we mnie jedynie niechęć. Ewentualnie obrzydzenie.

— Znamy się tyle lat, że zdążyłam się dowiedzieć. — Bonnie puściła mi zawadiacko oko i wzięła pod rękę. Skręciłyśmy w prawo i zatrzymałyśmy się przy kasach.

— Tak? A więc twierdzisz, że mężczyzna pokroju Roberta, który po dwóch latach związku zerwał ze mną przez esemesa, jest moim typem? Albo ten, jak mu było... Keith? Ten z żoną i dwójką dzieci? W takim razie serdecznie sobie współczuję i wolę zostać szczęśliwą singielką.

— Nie dramatyzuj, Minnie!

Nie dramatyzuj? Już sama nie wiedziałam, czy to we mnie był jakiś problem, czy raczej w niej.

Z impetem wrzuciłam zakupy na taśmę, strącając przy okazji paczkę gum balonowych.

— Masz już dwadzieścia siedem lat, Minnie! Kiedy na studiach zamiast imprezować jak normalna studentka, siedziałaś z nosem w książkach, nic nie mówiłam. Kiedy skończyłaś studia i szukałaś pracy, twierdząc, że nie masz czasu na facetów, nic nie mówiłam. Ale teraz masz już pracę i nadszedł czas, żebym wreszcie coś powiedziała. Jeżeli sama sobie kogoś nie znajdziesz, ja to zrobię. Czy ci się to podoba, czy nie. I na litość boską, nie patrz tak na mnie!

Posłałam Bonnie srogie spojrzenie i odwróciłam się, podając banknot zakolczykowanej dziewczynie siedzącej przy kasie.

Straciłam ochotę na przebywanie w jej towarzystwie.

— Czyżbyś rozmawiała z moją matką? — Spojrzałam na Bonnie podejrzliwe, pakując zakupy do lnianej torby.

— Możliwe.

I nagle wszystko stało się jasne.

Bonnie i moja mama dogadywały się dużo lepiej, niż powinny. Urządzały sobie wspólne plotkowanie, a ich ulubionym tematem rozmów było moje samotne i chaotyczne, ich zdaniem, życie.

Jakim cudem to znosiłam? Nie miałam pojęcia.

— Nie zeswatacie mnie z jakimś snobem, który nienawidzi kotów! — warknęłam, złapałam za materiałowe ucho torby i ruszyłam zamasyżać w kierunku wyjścia, mając nadzieję, że zgubię po drodze ten wrzód, który jeszcze niedawno był moją przyjaciółką. Na moje nieszczęście Bonnie miała dużo lepszą kondycję.

Może rzeczywiście powinnam zacząć ćwiczyć? Choćby dlatego, żeby móc od niej uciec.

— Właśnie, że lubi koty! Wypytałam go o wszystko! Nie jesteś ciekawa? — Nie poddawała się, powodując jedynie wzrost wielkiej guli, która zdążyła już się wykluc w moim suchym gardle.

— Nie — burknęłam oschle i nie oglądając się, jeszcze bardziej przyspieszyłam. — Odczepcie się ode mnie wszyscy! Lubię być sama!

Może nie do końca, ale w tamtej chwili był to jedyny słuszny argument, który przyszedł mi do głowy. Miewałam olśnienia, w których to przez ułamek sekundy pozwalałam swojej wyobraźni na wizję faceta, obok którego mogłabym się budzić każdego ranka. Jednak trwało to krótko, potem przed oczami widziałam jedynie kłótnie, wrogość i płacz. I moje kolejne załamanie nerwowe. Nic wartego zachodu. Zresztą żaden facet przy zdrowych zmysłach nie chciałby się związać z tak beznadziejną dziewczyną. No chyba że byłby równie beznadziejny jak ja.

~*~

Przeraźliwie znudzona, głodna i zirytowana, siedziałam obok szefa na cotygodniowym czwartkowym zebraniu firmowym. Kazał mi notować każde słowo wypowiedziane w ciągu ciągnącej się w nieskończoność godziny, a następnie sporządzić szczegółowy raport.

Bardzo szczegółowy.

Moim skromnym zdaniem robił to tylko po to, aby się nade mną poznęcać. Kochał to. Jakby tylko czekał, aż się poddam. Miał wielkiego pecha, gdyż należałam raczej do tych irytująco upartych i konsekwentnych. Szczególnie że przed oczami ciągle stawał mi obraz matki i jej kazań tuż po moim powrocie z podkulonym ogonem do domu, gdy przyznawałam ze spuszczoną głową, że Kutasiński mnie wywalił.

O zgrozo.

Nie miałabym nic przeciwko pracy, gdybyśmy nie siedzieli w takim ścisku. Kilka razy przez przypadek zahaczyłam nogą o kolano Kutasińskiego i o mało nie wylałam wody na jego krocze, co było doprawdy wy-

bitnie zenujące. Nawet jak na mnie. Siedziałam więc ze ściśniętymi nogami, pochylona nad klawiaturą laptopa, a moja twarz dosłownie płonęła ze wstydu.

Cudownie. Tylko na to czekałam.

— Niech się pani uspokoi, panno Cooper. Niedługo zamieni się pani w chodzący ketchup — mruknął Wallace niebezpiecznie blisko mojego ucha, odchylił się na krześle i z irytującym uśmieszkiem wpatrywał się w moją krwistoczerwoną twarz.

Kochał dwuznaczne sytuacje. Wtedy mógł się nade mną znęcać do woli, a ja, jak to ja, z zażenowania nie potrafiłam wymyślić żadnej sensownej riposty.

Drań.

Zebranie nareszcie dobiegło końca. Nie czekając na nikogo, pobiegłam do toalety, gdzie ochlapałam twarz lodowatą wodą, mając nadzieję, że zmyje wkurzające rumieńce. Wzięłam kilka głębokich wdechów, oznajmiając odbiciu w lustrze, że Wallace to palant, którym nie warto się przejmować, i wróciłam do biura, gdzie zdążył się rozgościć mój wkurzający szef.

Opierał się biodrem o moje biurko i w pełnym skupieniu przeglądał dokumenty. Zdążył pozbyć się marynarki uwidaczniającej jego umięśnione ramiona. Pozostał w samej koszuli, z rękawami podwiniętymi do łokci, a złoty zegarek odbijał się na tle jego oliwkowej skóry. W pomieszczeniu zrobiło się duszno, jakby nagle przestała działać klimatyzacja.

Tak. To z pewnością była wina klimatyzacji.

— Mogę panu w czymś pomóc, panie Wallace? — zapytałam i zmarszczyłam czoło. Nie podobało mi się, że bez skrupowania grzebie w moich rzeczach, nawet jeśli były to jedynie firmowe dokumenty, kolorowe karteczki samoprzylepne, różowy zszywacz oraz kilka długopisów z brokatem.

— Szukałem analizy budżetu za ostatni miesiąc. Miał być na moim biurku pięć minut temu. — Wstał i spiorunował mnie zimnym spojrzeniem.

Jego wzrok mnie przeraził. Nie pierwszy raz zresztą.

— Przepraszam, panie Wallace. Byłam w toalecie. — Szybkim krokiem podeszłam do biurka i znalazłam odpowiednią teczkę, po czym ukradkiem strzepnęłam z wierzchu okruszki po ciastku karmelowym, które konsumowałam przed zebraniem. Miałam wielką nadzieję, że niczego nie zauważył.

Jadłam, gdy się stresowałam. A przy Kutasińskim stres był częścią codzienności.

— Zawsze gdzieś pani jest, kiedy powinna być tutaj — warknął, wyrwał mi dokumenty z rąk i zniknął w swoim gabinecie. Wzięłam głęboki oddech i ze świstem wypuściłam powietrze.

— Gbur — mruknęłam pod nosem i zabrałam się za raport. Wallace tym razem nie miał zamiaru odpuścić mi nawet kilkuminutowego spóźnienia.

~*~

Położyłam na biurku plik kartek, nad którymi pracowałam przez ostatnie trzy godziny, i posłałam mu uśmiezek wyrażający pełne zadowolenie.

Patrz i podziwiał, Wallace.

Zerknął na nie i wrócił do wpatrywania się w ekran wypasionego laptopa. Nie słysząc nawet „Dziękuję” czy „To wszystko, może pani już iść”, ścisnęłam ręce w pięści i zacisnęłam zęby.

Czy słyszał o czymś takim, jak odpowiednie motywowanie pracowników? Albo chociaż minimalna wdzięczność? Zapewne nie.

Głośno odchrząknęłam, czym zasłużyłam sobie na jego zdziwione spojrzenie.

— Coś jeszcze? — zapytał, wpatrując się we mnie zimnym, przeszywającym wzrokiem. Nie lubiłam tego spojrzenia. W ogóle nie lubiłam tego człowieka.

— Nie — wymamrotałam, uważnie obserwując swoje czarne szpilki. Nie mogłam się już doczekać, aż je zdejmę. Pięty parzyły mnie niczym ogień, podobnie jak pięści, gotowe na spotkanie z policzkiem Kutasińskiego.

— W takim razie niech przyniesie mi pani kawę, a potem może już pani iść — polecił, po czym spuścił wzrok na ekran.

Jak dla mnie był już wystarczająco pobudzony.

— Kawę? O tej porze? — zdziwiłam się i odważyłam na niego spojrzeć, czego od razu pożałowałam, gdy spotkałam się z jego lodowatym wzrokiem. Z tego, co udało mi się wyczytać z jego kamiennej twarzy, był co najmniej wściekły. Co dla mnie oznaczało tylko tyle, że nadszedł czas, aby się ulotnić, i to jak najszybciej.

— Nie pytałam pani o zdanie. Jeśli zechcę posłuchać pani rad, z pewnością nieocenionych, poproszę o nie.

Zacisnęłam usta w wąską linię. Każdy inny człowiek na moim miejscu już dawno uraczyłby Kutasińskiego wiązką przekleństw, ale z jakiegoś powodu ja nie potrafiłam się odezwać.

Bez słowa wyszłam z gabinetu i skierowałam się do pomieszczenia gospodarczego, w którym znajdował się ekspres do kawy ze wszystkimi możliwymi funkcjami. Szef pił tylko espresso. Bez żadnego mleka, bez cukru i moim skromnym zdaniem również bez smaku.

Zupełnie jak on.

Zaniósłam napój w zgrabnej filizance do gabinetu i postawiłam na ciemnym biurku Wallace'a. Nie usłyszałam nawet słowa podziękowania, po prostu wyszłam, zmieniłam buty i opuściłam budynek, kierując się prosto na stację metra.

~*~

W mieszkaniu jak zwykle przywitał mnie leniwy kocur. Nalałam świeżej wody do jego miski i zrobiłam herbatę. Nie chciało mi się gotować. Rzadko kiedy miałam ochotę na cokolwiek po całonocnym znoszeniu Bennetta Wallace'a.

Zamówiłam więc porcję sajgonek, chińskiego makaronu i ciasteczka z wróżbą. Wygodnie ułożyłam się na kanapie przed telewizorem i zjadłam posiłek przy akompaniamencie jakiegoś teleturnieju, dzieląc się sajgonką z kotem.

Było mi siebie naprawdę żal. Nigdy nie sądziłam, że w wieku dwudziestu siedmiu lat będę tak wyzuta z energii i chęci do życia, tak samotna i zgorzkniała, że nie będę już w stanie ruszyć się z kanapy.

Zmęczyły mnie wiecznie samotne wieczory oraz dwuosobowe łóżko, w którym spałam tylko ja, nie licząc Boba. Zawsze mogłam zwierzyć się Bonnie, choć i tak nie potrafiłam mówić o swoich uczuciach. Teraz jednak ona zaczynała własne życie z mężczyzną, którego kochała. Zdałam sobie sprawę, że naprawdę zostałam sama.

I powoli zaczynało mi to coraz bardziej przeszkadzać.

~*~

— Mam nadzieję, że właśnie pakujesz się do Francji — oznajmiła Bonnie, kiedy z niechęcią wcisnęłam zieloną słuchawkę i przystawiłam telefon do ucha, wygodnie układając się na łóżku.

Kompletnie o tym zapomniałam. Nie zamierzałam nigdzie wyjechać. Szczególnie z jakimś snobem z domkiem we Francji. W planach miałam maraton Netflixa i dużą ilość niezdrowego żarcia.

— Nie mogę jechać — oznajmiłam, starając się brzmieć, jakbym była bardzo zawiedziona. Udawanie, że „jest mi przykro, ale nie mogę wyjść z domu”, opanowałam już do perfekcji. Ale tylko przez telefon, kiedy Bonnie nie mogła zobaczyć mojej kłamliwej twarzy.

— Niby dlaczego?

— Praca. Kutasiński zawałił mnie robotą. — Gdy nie miałam wymówek, zwałałam na pracę. Albo na Boba. Albo udawałam, że zapomniałam.

Zazwyczaj działało.

— Wiecznie praca i praca! Powinnaś odpocząć, Minnie! — Przewróciłam oczami. Moja definicja odpoczynku nie pokrywała się z jej, dlatego nigdy nie mogliśmy dojść do porozumienia. — A przede wszystkim powiedzieć temu kretynowi, co o nim myślisz.

— Nie wiem, Bonnie. Przy obcych jakoś nie potrafię powiedzieć tego, co myślę.

— Przy mnie nie masz tego problemu.

Miałam. Ogromny. Z odmawianiem jej, ale ona naturalnie nie potrafiła tego dostrzec. A ja nie potrafiłam nad tym zapanować.

— Ciebie dobrze znam — wyjaśniłam, poprawiając przy okazji poduszkę.

— Być może nawet za dobrze — odparła Bonnie z rozbawieniem. — Na pewno lepiej niż Frank.

— Bardzo możliwe. Znam cię dłużej.

— I dobrze, jeszcze by się przestraszył. — Zaśmiała się nieco histerycznie. *W tej kwestii nie mogłam się z nią nie zgodzić.* — Twoja mama zawsze powtarza, że faceci nie muszą o wszystkim wiedzieć.

Owszem. Przynajmniej do ślubu, według mojej mamy, oczywiście.

— Muszę iść spać. Jak znowu się spóźnię, Kutasiński mnie zabije — mruknęłam niezadowolona, widząc oczami wyobraźni kamienną twarz szefa i jego wzrok bazyliuszka. Aż zrobiło mi się niedobrze.

— W takim razie spotkajmy się jutro w czasie lunchu w restauracji na rogu. Będę czekać.

Rzuciłam telefon na stolik przy łóżku i wtopiłam się w poduszkę, mrużąc z zadowoleniem. Pozostało mi kilka godzin snu.

Miałam tylko nadzieję, że nie zobaczę w nim Bennetta Wallace'a.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

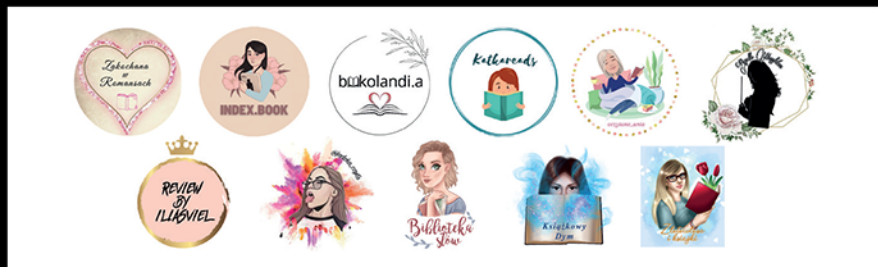
Kto jest gentlemanem?

Zdaniem Mary-Ann Cooper na pewno nie jest nim jej zabójczo przystojny szef, nadęty bubek z ego wielkości Francji, doskonały przykład na to, że idealnie skrojony garnitur to nie wszystko. Chociaż bez wątpienia wygląda w nim świetnie.

Mary-Ann ma dwadzieścia siedem lat, otyłego kocura o imieniu Bob, pracę, której szczerze nie cierpi, a także problem z asertywnością i skłonność do pokrywania się zdradzieckim rumieńcem w sytuacjach stresowych... I to w zasadzie wszystko, co można zapisać w życiowym bilansie po stronie aktywów.

Według jej najlepszej przyjaciółki Bonnie Mary-Ann jest na prostej drodze ku samotnej starości z kotem u boku. Pełna dobrych chęci Bonnie postanawia więc zeswatać ją ze swoim znajomym — przystojnym i bogatym Benem. Jednak dobre chęci w przypadku Mary-Ann nie wystarczą, a zaaranżowana przez przyjaciółkę romantyczna wycieczka zamienia się w istic piekielne doświadczenie.

Patroni medialni:



ISBN 978-83-283-7713-4



9 788328 377134

 editio red / editio.pl

ebook dostępny na:
ebookpoint

Cena 39,90 zł